

**Dariusz Kulesza**

## **NAGRODA KARPIŃSKIEGO: POCZĄTKI**

**N**a początku był ksiądz Twardowski, bo nie mogło być inaczej. Nie ma polskiej kultury, a zwłaszcza literatury chrześcijańskiej, zwłaszcza powojennej, by nie powiedzieć współczesnej bez poezji, prozy i postaci księdza Jana<sup>1</sup>. Dlatego to on jako pierwszy musiał otrzymać Ogólnopolską Nagrodę Literacką imienia Franciszka Karpińskiego. Tym bardziej, że od samego początku, czyli od 1995 roku, jest ona przyznawana twórcom, naukowcom i kapłanom, którzy – zasłużeni – nie tyle są wydobywani z odmętów naszej więcej niż tysiącletniej historii, ale poprzez swoją osobistą aktywność, poprzez swoją pracę uczestniczą w aktualnych wydarzeniach, decydujących o stanie kultury w Polsce i o tożsamości Polaków.

Można ten przekaz sprywatyzować, a w każdym razie spersonalizować i z niewielkim ryzykiem postawić następującą tezę: nagroda Karpińskiego powstała dlatego, że Waldemar Smaszcz znał księdza Jana Twardowskiego, a poza tym miał doświadczenie – pozytywne – związane z powołaniem do istnienia Nagrody Literackiej Prezydenta Miasta Białegostoku imienia Wiesława Kazaneckiego. To żaden paradoks. Tak się po prostu zdarza. Nie zawsze najpierw są nagrody, a potem ci, którym się je przyznaje. Czasem najpierw jest ktoś, kto nagrodę musi otrzymać, a nagroda powstaje, by tej konieczności stało się zadość.

Waldemar Smaszcz nie tylko znał księdza Twardowskiego, ale także – dzięki nagrodzie Kazaneckiego – mógł docenić promocyjną, a przede wszystkim kulturotwórczą rolę instytucji, jaką jest literackie wyróżnienie. Czy w takiej sytuacji Ogólnopolska Nagroda Literacka imienia Franciszka Karpińskiego mogła nie powstać? Mogła, ale bardzo dobrze się stało, że ją mamy, że powstała, że jest.

Na początku był ksiądz Twardowski, którego znał Waldemar Smaszcz. Na początku była konieczność wyróżnienia najwybitniejszego w polskiej literaturze powojennej, religijnego poety. Najwybitniejszego, o czym świadczy nie tylko poezja, najważniejsza, ale także osoba oraz to, co dla mnie szczególnie ważne, co eufemistycznie określić można świadomością pisarską księdza Jana.

---

<sup>1</sup> Jan Twardowski pierwszą swoją poetycką książkę wydał jeszcze przed 1939 rokiem, ale nie zmienia to faktu, że jego decydujący wpływ na polską poezję, zwłaszcza religijną, urzeczywistnił się po II wojnie światowej i mimo śmierci poety w styczniu 2006 roku trwa do dziś.

Wielkości ogarnąć się nie da. Ten użyteczny banan dotyczy także literatury. Paradoks polega na tym, że wielkość pozwala się od siebie zbliżyć poprzez sytuacje czy słowa, funkcjonujące jak portale ze świata sf czy fantasy albo jak platońskie iluminacje, choć lepiej byłoby napisać o platońskiej anamnezie, epistemologiczne iluminacje pozostawiając jednemu ze spadkobierców Platona: św. Augustynowi. Nie o filozofię jednak chodzi, tylko o słowa księdza Jana, które – przynajmniej w moim wypadku – bardzo skutecznie wprowadzają w jego pisanie, tłumaczą jego istotę, potwierdzając – w co wierzę – nie tylko moją czytelniczą intuicję. Sprawdźcie zresztą Państwo sami. Oto cytat, który mówi, czym jest poezja religijna w ogóle, a w konsekwencji i o tym, czym jest poezja księdza Jana Twardowskiego.

Liryka religijna to dla mnie liryka miłosna, w której wyraża się swoje uczucia do ukochanego Boga<sup>2</sup>.

Bez tego zdania nie potrafię myśleć o poezji autora *Znaków ufności*. Można je uzupełnić tym, co ksiądz Twardowski w rozmowie z Marianem Schmidtem mówił dalej i co za chwilę zacytuję, ale to tylko/aż ciąg dalszy zdania, które już padło. Zdania rozstrzygającego. Konstytutywnego. Kanonicznego. Uzupełnionego w następujący sposób:

Przedmiotem miłości jest niewidzialny Bóg, a nie osoba chodząca po ziemi. W liryce religijnej są przedstawione wszystkie przeżycia ludzkiej miłości, takie jak nadzieja, zwątpienie, radość, że Bóg jest, niepokój, czy On mnie kocha, lęk, że obraziłem Go, rozpacz, że jestem przez niego odrzucony.

W *Pieśni nad pieśniami* w Starym Testamencie wyrażona jest tęsknota za duchowym pięknem kobiety.

Dla mnie miłość ludzka jest dowodem na istnienie Boga<sup>3</sup>.

To jest osobny świat. To jest osobna poezja. Tutaj nie pyta się, czy Bóg jest? W tej poezji, w tym świecie najważniejsza wątpliwość dotycząca Boga zawiera się w pytaniu: czy Kocham Go dostatecznie? A jest to pytanie retoryczne, ponieważ odpowiedź na nie pozostaje niezmiennie przecząca. Bo nie ma sposobu na to, by kochać Boga tak, jak On kocha nas. Zawsze Kochamy Go za mało. Jesteśmy tylko ludźmi. A liryka religijna opowiada o tej nieadekwatnej miłości, o Bogu, który kocha doskonale i o człowieku, który Boga doskonale kochać nie umie, ale może kochać Go prawdziwie, tak jak potrafi, niedoskonale, po ludzku. Dlatego poezja księdza Jana Twardowskiego nie dzieje się w abstrakcyjnym niebie metafizycznej literatury, ale na ziemi, wśród nas i w nas. Dlatego ta poezja nas dotyczy. I tych, którzy Go Kochają, i tych, którzy

<sup>2</sup> M. Schmidt, *Niecodzienne rozmowy z księdzem Janem Twardowskim*, Warszawa 2000, s. 89.

<sup>3</sup> Tamże, s. 89-90.

dzięki księdzu Janowi mogą dowiedzieć się, że miłość między Bogiem i człowiekiem jest możliwa, że się zdarza, że jest.

Tego, co wielkie, ogarnąć się nie da. Zwłaszcza jeśli w grę wchodzi miłość między Bogiem i człowiekiem. Żeby o niej przekonująco opowiedzieć, potrzebny jest wiarygodny świadek. Potrzebna jest wiarygodna poezja. Co do poezji wątpliwości nie ma. Można nie wierzyć w jej miłosny przekaz, ale trudno – zarówno wśród tak zwanych profesjonalnych, jak i nieprofesjonalnych czytelników – znaleźć osoby kwestionujące jej literacką (poetycką) wartość. Pozostaje kwestia wiarygodności osoby. Nieuchwytna w swojej istocie, ale w związku z księdzem Twardowskim możliwa do przywołania. Przynajmniej ze względu na dwie sprawy.

Pierwsza z nich ma charakter anegdotyczny i trudno traktować ją z nadmierną powagą, ale czy nie jest symptomatyczne, a może nawet uwiarygodniające poezję księdza Jana to, że korzystał on z tupeciku? Tak wielki poeta, tak kochany i tak kochający (sądząc przede wszystkim na podstawie jego wierszy), a jednocześnie ktoś ukrywający własną – proszę wybaczyć słowo – łysinę. Czy to nie jest zabawne? Moim zdaniem, nie tylko zabawne, ale także ważne, bo pozwalające oswoić wielką miłość, o której Twardowski pisał. Bo czy to, co miłosne, co dzieje się między Bogiem i człowiekiem, nie zyskuje na wiarygodności, gdy świadczy o tym nie tylko heros słowa i wiary, ale także mężczyzna korzystający z tupeciku?

Parafrazując znany wiersz Andrzeja Bursy *Święty Józef*, mógłbym napisać: ze wszystkich twórców religijnej poezji najbardziej lubię Jana Twardowskiego, bo to nie był żaden masochista ani inny nawiedzony tylko człowiek, prawdziwy i wiarygodny, śmieszny z tym swoim tupecikiem, ale kochał Boga i ludzi, i pisał o tym piękne wiersze. Tak jak wiarygodny jest dla mnie św. Józef: prawdziwy człowiek – fachowiec i prawdziwy święty – wychowujący „Dzieciaka / o którym wiedział / że nie jest jego synem / tylko Boga / albo kogo innego”, tak ryzykując nieadekwatność zestawienia wyznam, że wiarygodny jest dla mnie ksiądz Jan Twardowski, który kochał Boga jak święty, chodząc w tupeciku jak człowiek.

Druga sprawa też dotyczy wiarygodności księdza Jana, ale ma poważniejszy, historyczny charakter. Nie chcę w związku z nią wywoływać lustracyjno-antylustracyjnych demonów, nie chcę ani protestować, ani niczego prostować, na przykład tego, co na ten temat opublikowano w książce *Ksiądz Paradoks*. Napiszę tylko, że drugie świadectwo mówi o tym, jak bardzo Jan Twardowski tkwił w rzeczywistości doświadczanej po wojnie przez Polaków. Tak, chodzi o kontakty księdza ze Służbą Bezpieczeństwa. O brud PRL-u, który nie został mu oszczędzony. Z którym ksiądz Twardowski – jak wierzę – zdołał sobie poradzić.

Na początku Ogólnopolskiej Nagrody Literackiej imienia Franciszka Karpińskiego musiał być ksiądz Jan Twardowski. Obok niego znalazł się Waldemar Smaszcz, ale był wtedy – i długo potem – jeszcze ktoś trzeci, nieoceniony, kon-

sekwentnie od lat usuwający się w cień, ale pamiętany: Jan Dziuba, poeta, pierwszy kustosz nagrody Karpińskiego.

To Waldemar Smaszcz i Jan Dziuba na początku roku 1995 udali się ze swoim pomysłem na nagrodę literacką imienia Franciszka Karpińskiego do Waldemara Pawłowskiego, który pełnił wówczas funkcję przewodniczącego Zarządu Oddziału Wojewódzkiego „Civitas Christiana” w Białymstoku. Pan Pawłowski inicjatywę przyjął, a po jej akceptację pojechał do Warszawy, do władz centralnych Stowarzyszenia. Przedstawił ją wiceprzewodniczącemu Zarządu Głównego, Jerzemu Marlewskiemu, który po konsultacji z Ziemowitem Gawskim, przewodniczącym „Civitas Christiana”, nagrodę zaaprobował.

Poeta, ktoś, kto poetę znał i ktoś, kto wyróżnienie poety zorganizował. Tak spersonalizowany obraz początków Ogólnopolskiej Nagrody Literackiej imienia Franciszka Karpińskiego wymaga uzupełnienia o instytucjonalnym charakterze, ponieważ spotkanie księdza Twardowskiego, Waldemara Smaszcza i Jana Dziuby doszło do skutku dzięki pomocy białostockich struktur Katolickiego Stowarzyszenia „Civitas Christiana”.

Wiadomo, kto nagrodę Karpińskiego musiał dostać oraz dzięki komu i jakiej instytucji do spełnienia tej literackiej konieczności doszło. Ale dlaczego Karpiński? Skąd taki, a nie inny patron wyróżnienia? Piszą o tym w naszej książce Profesor Jarosław Ławski oraz aktualny kustosz nagrody i Dyrektor Oddziału Okręgowego „Civitas Christiana” w Białymstoku, Bogusława Wencław. Do uwag Pana Profesora i Pani kustosz dodam tylko tyle, że wybór Franciszka Karpińskiego na patrona – proszę wybaczyć – naszego wyróżnienia był optymalny. I nie chodzi wyłącznie o to, że autor kolędy *Bóg się rodzi* był związany z Podlasiem. Dla mnie znaczenie ma także coś innego.

Jak pogodzić ogólnopolski charakter nagrody, oznaczający wybór laureatów wśród najlepszych w kraju, wśród osób najwybitniejszych „w dziedzinie literatury chrześcijańskiej”<sup>4</sup> z tym, że nagroda przyznawana jest z dala od tradycyjnie eksponowanych centrów polskiej kultury? Jak pogodzić ambicje tych, którzy nagrodę przyznają z świadomością, że do honorowania dochodzi na kresach, w Białymstoku? Przy czym pytania, które zadają, nie mają charakteru terapeutycznego, ich celem nie jest ujawnianie czy leczenie prowincjonalnych kompleksów. Chodzi raczej o racjonalny ogląd sytuacji i o patrona nagrody znakomicie równoważące to, co największe z tym, co marginalizowane. Bo przecież Franciszek Karpiński to z jednej strony wciąż powszechnie znane, choć niekoniecznie rozpoznawane jako jego dzieło *Pieśni nabożne: Pieśń poranna* („Kiedy ranne wstają zorze...”), *Pieśń wieczorna* („Wszystkie nasze dzienne sprawy...”), wspomniana już kolęda *Bóg się rodzi*, czyli teksty, bez których nie ma zarówno popularnej, jak i najcenniejszej polskiej literatury

---

<sup>4</sup> Cytat pochodzi z regulaminu Ogólnopolskiej Nagrody Literackiej imienia Franciszka Karpińskiego.

chrześcijańskiej. To niezapomniane, sentymentalne sielanki, z których najbardziej znana nosi tytuł *Laura i Filon*.

Karpiński to przecież jedno z najcenniejszych źródeł polskiego romantyzmu, docenione nie tylko dzięki opinii najbardziej wiarygodnego świadka: Adama Mickiewicza. Ale Franciszek Karpiński to także – przynajmniej z punktu widzenia dramatycznie wielkiej historii Polski przełomu XVIII i XIX wieku – literacka prowincja, to schyłek życia na – przyjmijmy – podlaskim marginesie, to cień politycznych uwikłań, przed którymi Karpiński schronił się we wsi Chorowszczyzna niedaleko Wołkowyska, czyli na dzisiejszej Białorusi, tuż za naszą wschodnią granicą, na wysokości Białegostoku. Franciszek Karpiński: wielki, chociaż zarówno obecny, jak i zapomniany, doceniony i marginalizowany, po prostu odpowiedni patron Ogólnopolskiej Nagrody Literackiej przyznawanej przez Oddział Okręgowy „Civitas Christiana” w Białymstoku.

Początki nagrody Karpińskiego miały w sobie wiele z optymalności: odpowiedni laureat, skuteczni organizatorzy i adekwatny patron. Pozostawał problem kolejnych edycji, czyli trwałości tego, co tak dobrze się zaczęło.

Regulamin wyróżnienia mówi o tym, że jest ono przyznawane „osobom lub instytucjom za wybitne osiągnięcia w dziedzinie literatury chrześcijańskiej z uwzględnieniem wszystkich gatunków, tj. prozy, poezji, dramatu, historii i teorii literatury, eseistyki, krytyki literackiej i przekładu”. Na początku wydawało się, że chodzi o dwie kategorie laureatów. Pierwsza miała obejmować twórców literatury chrześcijańskiej, a druga jej komentatorów i badaczy. Praktyka wprowadziła do tego podziału pewną istotną korektę. Z czasem okazało się, że wśród osób nagrodzonych pojawiają się duchowni. Kapituła nie jest zobowiązana do tego, by po poecie, dramaturgu czy prozaiku nagradzać naukowca, a po nim kapłana. Z drugiej strony trudno nie zauważyć, że pewne parytety są w tym względzie przestrzegane. Bezpośrednio po księdzu Twardowskim nagrodę otrzymali: Profesor Irena Sławińska, Biskup Józef Zawitkowski i Ernest Bryll.

Tak jak nie umiem myśleć o poezji i osobie księdza Jana bez cytatu o lirycie religijnej, która jest liryką miłosną, tak nie widzę powodu, by uwolnić się od pewnego zdania, a właściwie od dwóch zdań śp. Pani Profesor Ireny Sławińskiej. Brzmiały one tak:

W pracach naszych bardzo do niedawna modny teatr „sakralny” zastępujemy terminem „religijny” lub jeszcze właściwszym w naszym obszarze kulturowym: „chrześcijański”. Ale i ten termin wzywa jeszcze do uważnej egzegezy<sup>5</sup>.

Jeśli dzisiaj pojęcie księdza Twardowskiego wpisuję w kontekst literatury chrześcijańskiej, a nie na przykład sakralnej czy religijnej, to przede wszystkim dlatego, że korzystam z ustaleń poczynionych w tym względzie przez Irenę

---

<sup>5</sup> I. Sławińska, *Wstęp*, w: *Dramat i teatr religijny w Polsce*, red. I. Sławińska, W. Kaczmarek, Lublin 1991, s. 6.

Sławińską, jej współpracowników, przede wszystkim z KUL-u, i następców z kraju i zagranicy. Opowiem to inaczej.

Irena Sławińska otrzymała nagrodę Karpińskiego „za wybitną wartość jej pisarstwa naukowego w dziedzinie historii i teorii literatury, ze szczególnym uwzględnieniem problematyki dramatu polskiego i europejskiego”. Kapitułę przyznającą wyróżnienie tworzyli wówczas: Amelia Szafrńska – Przewodnicząca, Jadwiga Marlewska, Profesor Jacek Trznadel, Waldemar Smaszcz, Dariusz Kulesza i Jan Dziuba. Przygotowywałem wówczas doktorat dotyczący najwybitniejszych dramaturgów chrześcijańskich powojennej literatury polskiej: Romana Brandstaettera i Jerzego Zawieyskiego. Byłem w komfortowej sytuacji. Na pytanie: kto jest dzisiaj (kto był wtedy) najwybitniejszym badaczem/ badaczką literatury chrześcijańskiej w Polsce, mogłem odpowiedzieć jednoznacznie, tak samo jak pozostali członkowie kapituły. Wszyscy wiedzieliśmy, że nagrodę powinna otrzymać Pani Profesor Irena Sławińska. I tak się stało. A podczas uroczystości wręczenia wyróżnienia wydarzyło się dużo więcej. Wszystkim obecnym dana została niezwykła lekcja, dotycząca standardów zachowań kogoś, kto zajmuje się literaturą. Pani Profesor mówiła o sobie. Przywołałam dwa symptomatyczne drobiazgi.

Drobiazg pierwszy, wakacyjny. Irena Sławińska opowiadała o tym, jak w jej rodzinnym domu dzieci spędzały wakacje. Z własnej woli, z własnego wyboru. Najpierw był czas planowania, czyli próba odpowiedzi na pytanie: kogo będziemy czytać w tym roku? Potem pojawiała się decyzja. Na przykład taka: w tym roku czytamy całego Żeromskiego. A realizacja? Z tym nie było problemów. Żadnych. Bo czy może być coś wspanialszego niż czas przeznaczony na lekturę? Zwłaszcza taką.

Drobiazg drugi, obuwniczy. Związany nieco z pierwszym, bo choć trudno mieć w domu wszystkie książki, a dzięki bibliotekom, z których można korzystać, łatwiej pogodzić się z tym brakiem, jednak problem pozostaje. Jaki? Książkowo-obuwniczy, bo przecież każdy z nas może stanąć przed dylematem: co kupić? Nową książkę czy nowe buty? Sposób, w jaki Profesor Sławińska rozstrzygała tę alternatywę, jest łatwy do przewidzenia.

Czy ktoś taki mógł nie otrzymać Ogólnopolskiej Nagrody Literackiej imienia Franciszka Karpińskiego? Niestety mógł, ale na szczęście otrzymał.

Po wielkim poecie i wybitnym naukowcu wcale nie musiał przyjść czas na wyjątkowego kapłana, ale zdaniem kapituły, która pracowała wówczas w składzie: Profesor Alina Merdas RSCJ (Przewodnicząca), Jadwiga Marlewska, Waldemar Smaszcz, Dariusz Kulesza i Jan Dziuba, taki czas przyszedł. Dlatego, w 1997 roku, jak zwykle jesienią, a dokładnie 20 października 1997 roku, nagrodę Karpińskiego – „za całokształt twórczości poetyckiej i kaznodziejskiej, za żarliwość i polot oraz doskonałą kompozycję pieśni kościelnych i homilii” – otrzymał ksiądz Józef Zawitkowski, wówczas Biskup pomocniczy diecezji łowickiej.

Czy ktoś pamięta dzisiaj teksty księdza Tymoteusza? Nawet jeśli takich osób nie ma już zbyt wiele, co wydaje mi się mało prawdopodobne, to i tak wszyscy bywający w kościele, a i ci niebywający również, pamiętają, znają, a pewnie i śpiewają pieśń *Panie dobry jak chleb...*, popularną jak *Pieśni nabożne* Karpińskiego. Zresztą sława kazań Biskupa Zawitkowskiego też nie przemieniała. Ale liryczne modlitwy księdza Tymoteusza, poruszające kazania obecnego Biskupa seniora diecezji łowickiej, a nawet pieśń eucharystyczna *Panie dobry jak chleb* to tylko (aż!) konsekwencje czegoś ważniejszego, co nie mieści się w kategoriach ani talentu poetyckiego, ani homiletycznego. Tak jak poezja księdza Twardowskiego wynika z jego odpowiedzi na Miłość Boga, a mądrość Ireny Sławińskiej nie jest wolna od konsekwencji wyborów, które Pani Profesor podejmowała od dzieciństwa, tak wierszy, pieśni i kazań Biskupa Zawitkowskiego nie warto traktować niezależnie od tego, jakim on jest kapłanem. Znowu anachroniczny genetyzm, biografizm i psychologizm? Nie. Chodzi o coś innego. O to, że można zapomnieć wszystkie teksty Biskupa seniora, ale nie wyobrażam sobie, by ktokolwiek wyrzucił z pamięci spotkanie z księdzem Tymoteuszem, jeśli tylko miał szczęście w nim uczestniczyć.

Nie wiem, jak napisać o dobroci, życzliwości i pokorze Biskupa Zawitkowskiego. Nie umiem poradzić sobie z wyjątkowym ciepłem, którego – jak wielu innych – od księdza Tymoteusza doświadczyłem. I to pozostało dla mnie najważniejsze. Cenniejsze niż książki i kazania, chociaż nie ulega dla mnie wątpliwości, że to, co Biskup napisał i powiedział, wynika i pasuje do tego, jaki jest, do tego, jakim dał się poznać swoim czytelnikom, słuchaczom i uczestnikom uroczystości wręczenia mu nagrody Karpińskiego. Może na tym polega ideał kapłaństwa.

Żeby zamknąć opowieść o początkach Ogólnopolskiej Nagrody Literackiej imienia Franciszka Karpińskiego, przypomnę jeszcze tylko jednego laureata, Ernesta Brylla. Po poecie, naukowcu i kapłanie, w 1998 roku wyróżnienie znów trafiło do poety, wróciło do literatury. Koło się zamknęło.

Piszę o tym, bo wydaje mi się, że historia nagrody Karpińskiego to przede wszystkim opowieść o pewnym ładzie w kulturze, o porządku i hierarchii, które nie tyle są ustanawiane, na przykład przez zmieniający się skład kapituły, ile mogą być rozpoznane przez wszystkich, którzy zechcą na dzieje tego wyróżnienia spojrzeć, przyglądając się kolejnym laureatom i związkowi między nimi. Niezauważalnym, gdyby nie Ogólnopolska Nagroda Literacka imienia Franciszka Karpińskiego, gdyby nie jest historia. I właśnie to wydaje mi się najważniejsze, gdy szukam odpowiedzi na pytanie, czy warto było przez dwadzieścia lat wyróżnienie firmowane przez białostocki Oddział „Civitas Christiana” przyznawać. Gdyby nie ta nagroda stracilibyśmy jedną z nielicznych szans na dostarczenie – proszę wybaczyć przesadę – sensu kultury, nie tylko chrześcijańskiej, wpisanego w losy i dzieło twórców, naukowców i kapłanów. Sensu tak oczywistego w konfrontacji z poezją i osobą księdza Twardowskiego, z naukowymi pracami i świadectwem życia Profesor Ireny Sławińskiej czy z kapłań-

stwem Biskupa Józefa Zawitkowskiego, realizowanym w kazaniach, tekstach pieśni i nadzwyczajnej życzliwości. A Bryll?

Jeśliby zechciał Bóg otworzyć  
 Me bierne, białe, tłuste ciało  
 I swe ogniste palce włożyć  
 W tę galaretę oniemiałą  
  
 Jeśliby zechciał szukać, pukać  
 Może i co by z środka dostał  
 Jak ze śmietnika. Garść popiołu  
 Papierów plik i z tym pospołu  
 Sumienia ogryziona kostka<sup>6</sup>.

Polska poezja chrześcijańska to nie tylko zakochany w Bogu i ludziach Jan Twardowski. To także Ernest Bryll, wieszcz upominający się o duszę każdego z nas, ale także o jedną, wspólną duszę nas wszystkich, Polaków:

Bóg, co się ojcom naszym objawiał jak burza  
 Przepasany piorunem, w kontuszu płomiennym  
 Ścichł, zmałał, schłopiał...  
Ledwo się wynurza
 Spod ciemnej świtki nieba, by wieczorem ciemnym  
 Jak mysz przebiegać. (...)  
 Jak mysz nam ginie z oczu. Włazi do śmietniska  
 Nie ma Go. Oddychamy – On się znów przemyka  
 Spocony, wyczmuchany, dźwiga coś u pyska  
 I to śmierzące pod nos nam podtyka  
 I mówi: Oto prawda<sup>7</sup>.

Niemożliwa do przyjęcia prawda o nas. Tłustych narastającą gnuśnością, która przekracza miarę indywidualnej winy i staje się winą narodową, więcej: przybiera kształt przewinienia religijnego. I nie chodzi ani o bluźnierstwo, ani o bałwochwalstwo. Nasze przewinienie jest poważniejsze. Niewyobrażalne. Nie bluźnimy Bogu. My po prostu Go lekceważymy. Nasza idolatria to część oddawana sobie. Nasz grzech to przerażająca małość i miałość. To nędza tak głębokiego ugrzęźnięcia w codziennej zapobiegliwości i doczesności, w śmietnikowej wegetacji<sup>8</sup>, że nawet Bóg, który nie potrafi nas opuścić, nasz Bóg, dla nas

<sup>6</sup> E. Bryll, *Jeśliby zechciał Bóg*, w: tegoż, *A kto się odda w radość*, Warszawa 1980, s. 5.

<sup>7</sup> E. Bryll, *Bóg, co się ojcom naszym...*, w: tamże, s. 9.

<sup>8</sup> Przerażająca jest wizja śmietnika historii w wydaniu Ernesta Brylla.



i z naszego powodu wygląda i zachowuje się jak mysz ze śmietnika. A Jego prawda śmierdzi. Bo to jest prawda o nas.

Przyznaję, ta poezja była dla mnie szokiem. Nie tylko ja jej potrzebowałem. Potrzebowała jej także nagroda Karpińskiego. Chodziło o to, by głośno i wyraźnie, poprzez uhonorowanie nią Ernesta Brylla, powiedzieć nam, kim jesteśmy i jaka wina wobec Boga: wobec tego, co święte w nas i w naszej historii ciąży na naszych sumieniach.

Wyróżnienie Brylla ujawniło, że Ogólnopolska Nagroda Literacka imienia Franciszka Karpińskiego to nie tylko sposób na hołd składany najwierniejszym sługom, tak: sługom, kultury chrześcijańskiej, ale także wieszczę wołanie o zmianę, o ratunek dla nas, bo przecież to jacy jesteśmy, skazuje nas na śmietnik: na kulturalne i narodowe nieistnienie.

Czworo pierwszych laureatów nagrody Karpińskiego wyznaczyło standard wymagań stawianych następnym wyróżnionym, standard dotyczący twórców, naukowców i kapłanów. Standard określający nie tylko wymagania wobec tych, którzy tę nagrodę otrzymują, ale także wobec nas, świadków jej historii. Ta nagroda nie dzieje się między jej kapitułą i laureatami. Jej sens polega na tym, co dzieje się między laureatami i wszystkimi, którzy kiedykolwiek, w jakikolwiek sposób będą mieli z tym wyróżnieniem do czynienia.

Za nami dwadzieścia edycji Ogólnopolskiej Nagrody Literackiej imienia Franciszka Karpińskiego i co najmniej tyle samo okazji, by zetknąć się z historią, tożsamością i znaczeniem tego wyróżnienia. Dwudziestym laureatem został Doktor nauk humanistycznych, poeta i naukowiec, Przemysław Dakowicz. Werdykt kapituły podpisali: Arcybiskup Profesor Edward Ozorowski (Przewodniczący), Dorota Sokołowska (dziennikarka Polskiego Radia Białystok), Profesor UwB Dariusz Kulesza, Profesor Jarosław Ławski, Jan Leończuk (Dyrektor Książnicy Podlaskiej), Romuald Gumienniak (Sekretarz Rady Głównej Katolickiego Stowarzyszenia „Civitas Christiana”) i Bogusława Wenclaw (Kustosz Nagrody).

W latach 90. kapituła spotykała się w Warszawie, ponieważ oprócz białostoczan (z Janem Dziubą na czele) brały w niej udział osoby związane z Instytutem Wydawniczym „Pax” (na przykład Jadwiga Marlewska i Amelia Szafrąńska) oraz literaturoznawcy „ogólnopolscy” jak nagroda (na przykład Profesor Alina Merdas RSCJ czy Profesor Jacek Trznadel). Z czasem, głównie ze względu na to, że funkcję przewodniczącego objął Arcybiskup Profesor Edward Ozorowski, kapituła zaczęła obradować w Białymstoku, a jej przedstawiciele rekrutują się z lokalnych mediów, Książnicy Podlaskiej, białostockiego Oddziału „Civitas Christiana” i z Uniwersytetu w Białymstoku.

Te i inne zmiany nie odebrały nagrodzie tożsamości wypracowanej w jej początkach. Dzięki temu przyznawanie jej wciąż jeszcze ma sens, a świętowanie dwudziestej edycji nie ogranicza się do patrzenia w przeszłość: na tych, którzy już ją otrzymali i na ślad, jaki w nas po nich pozostał. Co najmniej tak samo ważne są lata, które przed nami. I nie chodzi wyłącznie o to, kto nagrodą

Karpińskiego zostanie uhonorowany, bo wierzę, że kolejni laureaci godni będą poprzednich, ale o to, jak ich przyśniemy, na ile pozwolimy im kształtować nasze bycie w kulturze i w Polsce, w tym, co prywatne i codzienne, ale także publiczne, decydujące o losach świata.

Oczekuję za dużo? Gdyby stawka była mniejsza, Ogólnopolska Nagroda Literacka imienia Franciszka Karpińskiego nie miałaby sensu.